Rok 1901. Lwów, 25. Sierpnia Nr. 33.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY
(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 25. Sierpnia Nr. 33.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ ½
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów • Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 6.

Rok 1901. Lwów, 25. sierpnia Nr. 33.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.



Treść Nr. 33:

W sprawie młodych lekarzy.

Jedną z bolączek naszego społeczeństwa jest ciężkie położenie młodych lekarzy. Młody człowiek, nie mający majątku osobistego, krwawą pracą zdobywa sobie środki na utrzymanie podczas pobytu w uniwersytecie, nie upada pod brzemieniem kłopotów pieniężnych, bo przyświeca mu nadzieja pracy dla cierpiącej ludzkości i polepszenia sobie bytu po skończeniu nauk. Wreszcie upragniona chwila nadchodzi. Krajowi przybywa jeszcze jeden lekarz, pełen sił i energii, chcący pracować, dla dobra ogółu. Przystępuje do pracy, lecz na samym wstępie, spotyka go rozczarowanie. Próżno w urządzonym za ostatnie grosze „gabinecie“ oczekuje po kilka godzin dziennie na chorych. Nikt, a przynajmniej prawie nikt, nie przychodzi. Mając teraz sporo wolnego czasu, zaczyna się zastanawiać nad przyczynami niepowodzenia i... rychło przestaje się dziwić. Nieliczni pacyenci, których miał w swojej opiece, naprowadzają go prędko na myśl, że wiedza, którą posiadał w uniwersytecie, nie wystarcza, że należy owo mnóstwo wyczytanych lub usłyszanych wiadomości ułożyć w pewną całość, wyrobić sobie swój własny pogląd na choroby i ich leczenie. Dać to może przedewszystkiem kilkuletni pobyt w szpitalu, ciągłe obcowanie z chorymi.

Otóż młody lekarz wstępuje do szpitala i tu znajduje wszystko, czego mu potrzeba. Lecz nie znajduje rzeczy bądź co bądź najważniejszej — chleba. Zaczyna więc szukać. O znalezieniu płatnego zajęcia po za obrębem medycyny z rzadkimi wyjątkami mowy niema. Praca, nie wymagająca przygotowania specyalnego, w społeczeństwie dzisiejszem zawsze znajdzie kandydatów mnóstwo. Pozostają więc posady, mające związek z medycyną. Po pewnym czasie taka posada się zdarza. Młody lekarz stara się ją dostać, lecz dowiaduje się, że ma kilkunastu współzawodników.

Otóż tu zachodzi okoliczność ciekawa, na którą pragnąłbym zwrócić uwagę szczególną. Między kandydatami, oprócz młodych, rzeczywiście potrzebujących pieniędzy, spotkać można nader często ludzi, cieszących się już rozwiniętą praktyką, dla których kilkadziesiąt złr, stanowi tylko dodatek do innych źródeł dochodu. Nasz młody lekarz nie dostaje posady przypuśćmy w fabryce, dającej 300—400 złr. rocznie, bo tę posadę otrzymał lekarz starszy, mający już 2—3 stowarzyszenia i jaką taką praktykę.

Upada tu wzgląd, że lekarz starszy będzie pełnił obowiązki z większą korzyścią dla chorych, gdyż przeciążony rozmaitemi pracami, nie ma wprost czasu na szczegółowe badanie nowych chorych. Chwyta jednakże, korzystając ze znajomości i stosunków, ową fabrykę, lecznicę, stowarzyszenie, kolej, przytułek czy coś podobnego, bo w ten sposób będzie mógł rocznie więcej zaoszczędzić lub wydać latem gdzieś na zachodzie.

Wiele mówią i piszą, że lekarze młodzi powinni osiedlać się na prowincyi. Czy jednakże nie powinni tego robić lekarze starsi, wytrawniejsi, czy nie powinni właśnie oni zabrać się do leczenia na wsi, dając w ten sposób pośrednio młodszym kolegom możność utrzymania się czasowego w większem mieście i zdobywając dla siebie dochody także wcale pokaźne, a co ważniejsza, świadomość spełnionego obowiązku obywatelskiego?

Czy to jest korzystne dla ogółu, jeżeli ów młody lekarz, zniechęcony borykaniem się z losem w wielkiem mieście, przedwcześnie puszcza się na pracę samodzielną, a taką być musi praca lekarza na wsi i mimowoli popełnia nieraz błędy, osłabiające zaufanie ludności wiejskiej do medycyny? *M.*

„Nad-scena“.

Lipsk, d. 15 sierpnia.

„Ueberbrettl“, stale goszczący w Monachium, zjechał do Lipska i od kilku dni daje przedstawienia w *Albert-Theater.* „Nad-scena“ wzbudziła zainteresowanie i cieszy się powodzeniem. Na program składają się w znacznej części piosnki popularnych autorów modernistycznych, którym przodują Lilienkron, Wolzogen i Bierbaum. O kompozytorach muzycznych afisz milczy, a pan, informujący ze sceny publiczność o przebiegu programu, wymienia tylko nazwiska poetów i wykonawców. Pan ten, zabierający głos przed rozpoczęciem każdego numeru, zwraca uwagę przedewszystkiem swoim oryginalnym kostyumem: popielaty frak, czerwony gors, biała w paski fioletowe kamizelka i dalszy ciąg koloru buraczkowego składają się na całość, bohatersko szydzącą ze wszelkich przepisów mody i kroju.

Przedstawienie rozpoczyna się śpiewem przy akompaniamencie fortepianu. Tłem piosnki są Chiny, a bohaterem ośmieszanym p. Waldersee. Pierwsze zwrotki mijają bez wrażenia, ale dalszym towarzyszą oklaski i... sykania. Pierwsze rosną w miarę wzmagania się drugich, a drugie wzmagają się aż do końca śpiewu. Pan w popielatym fraku, niezrażony tem zachęcającem przyjęciem, pośpiesza oznajmić, iż z kolei panna X. odśpiewa pieśń, której tytuł interesujący brzmi: *„Das kleine Schwein“*. Powtarza się ceremonia wprowadzenia wykonawczyni, poczem znowu słyszymy śpiew. Artystka odznacza się temperamentem, rozporządza dźwięcznym głosem i wykazuje olbrzymią dozę pomysłowości w gestykulacyi. Jej gesty — to nie zwyczajne gesty, to są chyba nadgesty! Ręce, nogi, głowa, korpus, wszystko ma swoje zastosowanie i wszystko wprawione jest w ruch. Śpiew, urozmaicony tak cennymi dodatkami, wywiera widocznie wrażenie przejmujące, bo śpiewaczkę nagradzają grzmiącymi oklaskami.

Na przód sceny znowu występuje pan w popielatym fraku i znowu informuje publiczność o dalszym ciągu przedstawienia. Szkoda, że nie informuje szczegółowiej, bo oto naraz scenę i widownię zalega nagła a niespodziewana ciemność.

Ktoś obok mnie poczyna szeptać z niezachwianą pewnością, że dzięki tak miłej sytuacyi, można się pomylić i zamiast swojego, opróżnić cudzy kufel. Spostrzeżenie bardzo trafne i w dodatku na czasie, lecz nie zastanawiam się nad niem, bo uwagę moją zwraca śpiew. Po chwili oczy przyzwyczajają się do ciemności i wówczas spostrzegam na scenie jakąś czarną postać. Postać ta śpiewa, a śpiewa miłym i młodym głosem, wobec czego nie mogę zrozumieć, dlaczego odbywa się to wszystko pociemku. Czyżby dla wywołania odpowiedniego śród widzów nastroju? Może.

Dalszy ciąg przedstawienia urozmaica „dramat senzacyjny“ p. t. „Pendzel“. Jest to satyra na secesyonistów, a cała jej oryginalność polega chyba na tem, że niema takiego słowa, którem nie możnaby równie dobrze satyry tej zatytułować. Autor „Pendzla“ nie użył w swojej „sztuczce“ więcej nad sto wyrazów, tworzących raptem kilkanaście zdań, które, powtarzając się aż do znudzenia, pozostają prawie bez powiązania logicznego. Figiel ten ma jednak swoją wielką zaletę: nie trwa dłużej nad dwadzieścia minut i za to należy się autorowi wdzięczność. Takich „dramatów“, pozbawionych logiki, sensu, akcyi i dowcipu, każdy bez najmniejszego wysiłku może napisać tyle, ile mu się tylko podoba.

Na wyróżnienie zasługuje jeszcze numer, zatytułowany w programie: *„Die Strassensänger“*. Scena przedstawia tym razem podwórze kamienicy. Wchodzi śpiewak uliczny, zabawia czas jakiś mało dowcipną, ale za to trywialną historyą o swojej żonie, poczem zjawia się młoda kobieta w towarzystwie młodego człowieka (oboje zaopatrzeni w harfy) i rozpoczyna się tercet. Podczas śpiewu z okien raz po raz wylatują srebrne monety i z brzękiem padają na ziemię. Widocznie mieszkańcy kamienicy mają bardzo czułe serca i składają się z samych milionerów, skoro tyle drogiego kruszcu wyrzucają przez okna.

Inne numery wypełniają śpiewy, często melodyjne i zazwyczaj wykonane bardzo poprawnie. Przedstawienie kończy pieśń chóralna, której osnową jest miłość.

Trzeba przyznać, że w przedstawieniach *„Ueberbrettla“* jest jeszcze, oprócz trywialności, pewien sympatyczny rozmach, jest humor i życie, jest trochę poezyi, a nawet widoczne są wysiłki zerwania z szablonem i silenie się na oryginalność. Lecz to wszystko, nie wyłączając walki z rutyną, spotykamy i na innych scenach. To też, wychodząc z teatru, wynosi się wrażenie, że głośna dziś w Niemczech „nad-scena“ niewiele przyniosła nowego. Program w części składa się z tego, co wchodzi w zakres przedstawień t. zw. teatrzyków *Variété*, a w części z numerów, które najzupełniej odpowiadają scenom poważnym w całem znaczeniu tego słowa. *„Ueberbrettl“* łączy jedno z drugiem, lecz bynajmniej nie tworzy czegoś pośredniego, a wobec trywialnych wybryków, jako przybytek sztuki nie może być traktowany seryo. Z drugiej znów strony oryginalne, niekiedy bardzo ładne dekoracye i kostyumy, wprowadzenie takiego zwyczaju, jak informowanie widzów ze sceny o przebiegu przedstawienia, wreszcie kilka innych „nowości“, odgrywających w gruncie rzeczy rolę podrzędną, to aż za dużo, jak na *café chantant*, ale jak na nadscenę to znowu trochę nad-mało.

Stanisław Maciejowski.

Marcin Gawron.

(Opowiastka prawdziwa).

I.

W chałupie Gawrona — krzyk. Stary Marcin Gawron pochwycił dziesięcioletniego syna Wojtka, za konopiastą czuprynę i paskiem grzmoci go po plecach. Z komory wyskoczyła Marcinowa, wyrywa dzieciaka z rąk rozbestwionego męża i pomstuje:

— Puść go, rakarzu! bodajś oślepł, bodajcie pokręciło, zmierziony kołtunie! Co ci do mojego dziecka?!

— Takie ono twoje jak i moje — odsapnął chłop, folgując w biciu.

— Co ci zrobił, kasztanie jeden?

— Cięgiem jeno w książkach siedzi i czyta...

— Krzywda ci, że chłopak nauki łakomy?

— Ja mu dam naukę! — krzyknął chłop i sunął znowu do Wojtka.

— Matulu, lobogarety, matulu! — załkał chłopczyna, tuląc się do rodzicielki.

Marcinowa zastawiła go sobą i z roziskrzonym wzrokiem wyciągnęła do męża zaciśnięte pięści.

— Odsuń się, pókim dobra! — wrzasnęła tak przeraźliwie, że Gawron przysiadł na zydlu, a prosięta z kwikiem pouciekały z chałupy.

— Czemu gadziny nie pilnuje? — wybuchnął chłop.

— Nie twój kłopot, Małgośka wedle niej chodzi...

— To on, zatracony, ma panem być, książki czytać, w papierach się rozpisywać, albo patykiem rozmierzać granice?

— Oj ty głupi chłopie... źle by nam było, żeby Wojtek do szkoły chodził, został mądrym człowiekiem, a choćby nawet ometrą był?

Gawron, który miał proces z sąsiadem o źle wytkniętą granicę, na wzmiankę o geometrze zerwał się ze stołka i siny z gniewu ryknął zdławionym głosem.

— Stul gębę, bo amen z tobą!

— Cudzie Boski, on mnie gotów uśmiercić! — mruknęła Marcinowa, pozornie chwytając za garnek z ukropem.

Manewr babski wydał zbawienny skutek. Chłop usiadł znowu na zydlu i rzekł siląc się na spokój.

— Dawaj duchem kolacyę.

Marcinowa zakrzątnęła się szybko, postawiła miskę maślanki na stole, drugą z kartoflami i zwróciła się politycznie do męża.

— Może gorzałki?

— Nietrza — burknął chłop.

— Napijemy się oboje, na zgodę, po kieliszku.

— Ano — mruknął chłop.

Wypili, chłop splunął i zabrał się do jedzenia, spoglądając jak żbik na zapłakanego syna.

— Wojtek, obłap tatula za nogi i przeproś — skomenderowała baba, chcąc ostatecznie spór zakończyć.

Chłopak, jakby na to hasło tylko oczekiwał, skoczył do ojca i jął go całować.

— Pamiętaj hyclu, że na drugi raz nie przepuszczę i spiorę tak, że zobaczysz! — przemówił udobruchany Gawron.

Wojtek coś mamrotał, spojrzał na matkę, siadł koło komina i jął chlipać maślankę, pociągając naprzemian nosem.

Stary spojrzał na chłopca i żal go ścisnął za serce.

Odchrząknął i rzekł łagodnie.

— Głupi muc, głowę sobie książkami zaprząta, rozum mąci, jakby to ojciec albo matka nie potrafili go na porządnego chłopa wykierować. Bez pańskich i szkolnych wymysłów ludzie żyli, kalkulacyę w głowie mieli i dostatek też.

— Zawsze z edukacyą snadniej się dojdzie do wszystkiego — wtrąciła matka.

— Głupiaś — przerwał jej krótko ojciec, zmierzywszy babę surowym wzrokiem, dodał:

— Rozum mam, uważanie mam, pieniędzy mi nie brak, choć podpisać się nie-umiem!

— To też nie tak wszystko idzie, jakby iść powinno...

— Bo co?

— A proces? Kuba wygrał dla tego, że czytane i pisane zna i z adwokatami gada, jak z sołtysem...

— Niema to apelacji?

— Znowu przegrasz..

— Niewiadomo jak będzie. Zobaczę jutro w Warszawie. dał mi niemiec karteczkę do swego adwokata... on mi poradzi..

— Jakże do niego trafisz, kiedy czytać nie umiesz?

— Dałem sobie radę w pruskim landzie, to i w Warszawie nie zginę...

— Rób, jak ci się widzi, ale ja na twojem miejscu będący, wziąłabym Wojtka ze sobą, on dobrze piśmienny..

— Milcz, bo cię uśmiercę! — wybuchnął na nowo Marcin, podrażniony w swej dumie ojcowskiej.

— Zabij mnie z Wojtkiem razem!.. Nie znęcaj się nad nami po próżnicy! — zaniosła się płaczem baba i jęła dalej zawodzić:

— Chłopak aż się trzęsie do książek, a takie śliczności w nich wyczytuje, że mnie starą żałość bie... bie... bierze...

Gawron, nie mogąc znieść babskiego szlochania, porwał za czapkę i zły jak szatan wyniósł się spać do stodoły.

Nazajutrz skoro świt był już w drodze do Warszawy.

II.

Gdy Marcin Gawron dobrnął szczęśliwie do celu podróży, przekonał się, że rada żony złą nie była. Błąkając się tu i tam po ulicach, żałował, iż Wojtka nie wziął ze sobą. Onieśmielony ruchem i gwarem wielkiego miasta, stanął i począł rozglądać się bezradnie.

— Usuńcie się, bo was przejadą — usłyszał życzliwe ostrzeżenie.

Spojrzał, przed nim stał jakiś przyzwoicie odziany jegomość, który powtórzył wygłoszoną przed chwilą przestrogę i dodał:

— Wyście zdaleka?

— Z pod Łowicza.

— Pierwszy raz w Warszawie?

— Juści, pierwszy...

— Szukacie kogo?

— Mam tu karteczkę, szukam adwokata.

Jegomość rzucił wzrokiem na adres i rzekł do chłopa:

— Widzicie jaka to bieda, kiedy człowiek czytać nie umie... stoicie właśnie przed domem, w którym mieszka wasz adwokat. Wejdźcie w bramę i zapytajcie się stróża, a was doprowadzi, albo schody wskaże.

Marcin podziękował i chciał warszawiakowi coś wsunąć do ręki.

— Co to jest?

— Za dobre słowo..

— Cóż ty durniu sobie myślisz? Zrobiłem ci grzeczność, a ty mi chcesz płacić za nią? Tfy, do stu piorunów!

I nim się oszołomiony Marcin zdążął zorjentować, jegomość poszedł zły w swoją drogę.

— To ci hardy ciarach — mruknął chłop i udał się do stróża, od którego się dowiedział, że poszukiwany adwokat mieszka istotnie w tym domu.

— Gdzie mosiężna tabliczka z napisem, pierwsze piętro na lewo — objaśnił go stróż.

Marcin wszedł na górę, odnalazł drzwi na lewo z mosiężną tabliczką i zadzwonił, jak mu doradzono.

Wpuszczonym został niebawem.

— Jest pan? — przemówił rezolutnie.

— Jest, ale zajęty. Trzeba zaczekać na swoją kolej — objaśnił go służący i wskazał krzesło w poczekalni, gdzie już siedziało kilka osób.

Marcin rozsiadł się wygodnie i powiódł tryumfującym wzrokiem po otoczeniu, jakby chciał powiedzieć:

— Ano, widzita ludzie, żem trafił do adwokata!

Chcąc sobie skrócić chwile oczekiwania, jął się przyglądać zebranym. Patrzył i dziwował się. Tu jakaś jejmość siedziała z podwiązaną twarzą, tam tęgi drab trzymał się za spuchniętą gębę; kilka osób ciężko wzdychało.

— Pewnikiem mają sprawę o pobicie. Co też to za niespokojny naród w tej Warszawie — zauważył w duchu Gawron.

Gdy go wreszcie wezwano do Gabinetu, ruszył śmiało i stanął na progu, rzucając zdziwionym wzrokiem po pokoju, gdzie na środku stał jakiś jegomość.

Proszę tu bliżej — usłyszał.

Gawron wszedł, ujrzał różne, nieznane mu przedmioty, porozkładane na stole, dziwne obrazy pozawieszane na ścianach i usta otworzył ze zdumienia.

— Siadajcie — rzekł jegomość, świdrując go przenikliwym wzrokiem i wskazując na fotel.

Chłop machinalnie zasiadł w fotelu i odsapnął ciężko.

— Zmęczyliście się — przemówił łagodnie jegomość.

— Bogać nie — odrzekł rezolutnie Gawron, przyszedłszy do siebie, ciągnął dalej: — Pół Warszawy schodziłem nim znalazłem wielmożnego pana.

— Któż wam o mnie powiedział?

— Bo to ludzie nie wiedzą o wielmożnym panu? Toć u nas we wsi jest Niemiec, który mi radził udać się tylko tu.

— Doprawdy?

— Sprawiedliwie mówię, dał mi nawet adres, jeno zostawiłem go hań, tam w czapce, — roześmiał się Gawron.

Jegomość skorzystał z tej chwili i spojrzał uważnie w czeluść rozwartych ust chłopa.

— Zdrowe macie zęby — rzekł.

— Jeden mnie, psiakość, poboliwa!

— Ten czarny i krzywy...

— Juści, baba moja naruszyła mi go krzynę łońskiego roku.

— Nagłą żonę macie — przerwał jegomość przepatrując coś na stole.

— Nagła, ale rzetelna baba — westchnął chłop i dodał z pewną dumą w głosie — spierała się, że nie trafię do wielmożnego pana, a przecie-żem trafił...

— I dobrzeście trafili, bo wam wnet ulży...

— To się kobiecisko ucieszy! — zawołał Marcin radośnie myśląc o swojej sprawie.

— Ale musicie być spokojni i cierpliwi...

— Cierpiałem tyla, to przetrzymam jeszcze, jeno radbym wiedzieć, długo ta sprawa pociągnie?

— Ani się spostrzeżecie.

— Niech wielmożnemu panu ręce ozłocieją, wstyd by mi było wracać po próżnicy do domu...

— Naturalnie!

— Całka wieś natrząsałaby się ze mnie...

— Naturalnie — potakiwał jegomość, przystępując do chłopa.

— Siła to będzie kosztowało? — spytał przezornie Gawron.

— Nie obawiajcie się, nie zedrę z was — upewnił jegomość, ukrywając coś starannie za sobą.

— Gadał mi Niemiec, że wielmożny pan uczciwy człowiek i krzywdy ludzkiej niełakomy...

— Naturalnie — ponowił jegomość i z pewnem zniecierpliwieniem w głosie dodał.

— Otwórzcie usta.

— Chce wielmożny pan mój czarny ząb zobaczyć? — zdziwił się chłop.

— Naturalnie - wyrzekł po raz czwarty jegomość.

Gawrona załaskotało coś po plecach, ale spełnił szczególniejsze żądanie mniemanego adwokata.

— Raz, dwa, trzy! — rozległa się szybka komenda, pomięszana z nieludzkiem rykiem chłopa i trzaskiem wyrywanego zęba.

— Już po sprawie! — zawołał tryumfująco dentysta, ukazując z uśmiechem ząb na dłoni, oszołomionemu Marcinowi.

Jak rozjuszony zwierz skoczył Gawron z fotelu, porwał za gardło operatora i z całej siły grzmotnął go o ziemię.

— Scierwo! wyksztusił, dławiąc się krwią, która mu usta wypełniała i znów rzucił się na niewinną ofiarę swojej własnej głupoty.

Gdyby nie rychła pomoc służby i pacjentów, byłby rozbestwiony Gawron uśmiercił dentystę, który już chrypiał w żylastych rękach chłopa.

Po niewczasie rzecz się wyjaśniła, że Marcin Gawron, poszukując adwokata, minął pierwsze piętro i wszedł na drugie, gdzie spostrzegł na lewo drzwi z mosiężną tabliczką i z napisem...

Dentysta, chcąc uniknąć skandalu i rozgłosu, przebaczył chłopu brutalną awanturę, do której mimowoli sam się też przyczynił.

III.

Gdy Marcin Gawron znalazł się na ulicy, stanął ogłupiały i począł obcierać zakrwawioną gębę. Otoczyła go gawiedź i jęła rozpytywać, co mu się stało.

Chłop splunął, machnął ręką i puścił się z powrotem do domu. Jeszcze przed zachodem słońca znalazł się we wsi i wszedł cicho do chałupy, gdzie zastał samego Wojtka, siedzącego nad — książką.

Jak oparzony ukropem, skoczył chłopczyna i padł do nóg ojcu z płaczem:

— Tatulu, niebijcie mnie, tatulu!

Chłop spojrzał szklistym wzrokiem na syna, zdjął sukmanę, odpasał rzemień i siadł ciężko na zydlu.

Wojtek oniemiał ze zdumienia.

Stary sapał przez chwilę, poczem mruknął.

— Gdzie matka?

— W polu, kartofle podbierają.

— Biegaj, niech mi jeść przyszykuje...

Wojtek lotem strzały wymknął się z izby i ruszył w pole. Oglądał się jednak przez drogę, czy go rodzic z paskiem nie goni. Gdy przypadł do matki, rzekł zdyszany.

— Tatulo przyszli!

— Zbił cię?

— Jeszcze nie; was kazał zwołac, jeść chce...

— Czytałeś?

— A jeno?

— Zostań-że tu na polu i kop, a ja sama pójdę do ojca.

— Brońcie mnie — szepnął chłopak.

— Nie bój się, ale pamiętaj, żebym po próżnicy pleców za ciebie nie wystawiała.

— Nie, matulu, nie — odrzekł chłopczyna z dziwną mocą i pocałował rodzicielkę w rękę.

— Kop! — odrzekła krótko Marcinowa, dławiąc łzy w sobie i ruszyła do chałupy.

— Witaj-że, a jak tam poszlo? — zaczęła od proga.

— Niech ich l... — mruknął Gawron i splunął.

— Co to? krew! biłeś się? — wykrzyknęła przerażona Marcinowa.

— Głupstwo, zagryzłem się w język — odrzekł chłop i rozejrzał się po izbie.

— Gdzie Wojtek — spytał.

— Bić go chcesz? Sumienia byś chyba nie miał! Dopiero co wróciłeś...

— Zawołaj go

— Żebyś go skatował? Bij mnie! — załkała Marcinowa.

— Głupiaś... niech przyjdzie... zaniecham!...

— Bóg cię oświecił! — wybuchnęła radosnym płaczem Marcinowa i wybiegła na próg chałupy. Chciała synaczka zwołać, ale synuś już stał za progiem.

— Będą ociec bili? — spytał szeptem.

— Chodź, nie bój się. Obłap tatula za nogi...

Chłopak skoczył do ojca i jął ściskać, a całować.

— Masz wiedzieć, że od jutra będziesz chodził do szkoły — odezwał się Marcin.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknęła zdumiona Marcinowa, wypuszczając łyżkę z ręki.

— A jeno mi się nie ucz i nie przykładaj jak należy, to zobaczysz! — pogroził Gawron Wojtkowi, który nie mógł odrazu uwierzyć w szczęście swoje.

— Słyszałeś — spytała matka, przełykując ślinę, jakby jej w gardle uwięzła.

— Tatulu! matulu! tatulu! — ryknął chłopak wielkim płaczem i raz ojcu, drugi raz matce do nóg przypadał.

Marcinowa, pochlipując, zastawiła wieczerzę, do której razem wszyscy zasiedli.

— Odmienili go w tej Warszawie, czy co! — myślała baba, spoglądając na chłopca.

Gawron jadł, sykał i milczał.

Bożydar.

Oberek mazowiecki.

Fontaż — aż ha! czapka — stogiem
Z ucha!
Mazur-ci ja, jak Bóg Bogiem,
Hu-ha!
Mazur-ci ja z nad tej rzeki
Proga.
Przez te równie niedaleki
Boga.
Boć i rzeka i dolina
Sucha.
Precz ku niebu się rozpina —
Hu-ha!

*

Swoją ziemią, swoim lasem,
Chodzę sobie obertasem,
Chodzę zawżdy w jednym kole,
Ano, w onej Wisły dole,
A jak przyjdzie mi potrzeba,
Pójdę w przełaj aż do nieba.
Jużci wtedy każdy powie:
Nie właź w drogę Mazurowi!

*

Nastąpcie się, ano wiecie,
Z drogi.
Bo ci z lewej idę przecie
Nogi.
„Ślepy od-sie!“ — głupi zgoła
Szydzi,
Mazur bowiem dobrze z koła
Widzi.
Nie zmrocysz go, choć do rana,
Zucha,
Hej sukmana — podkasana —
Hu, ha!

*

W prawo — jedno, w lewo — dwoje,
I to swoje, i to swoje:
Boża Męka, głąb daleka
I ta Wisła, modra rzeka
Dokoluśka równa gleba,
Aż do Boga, aż do nieba
Niech-ta sobie, kto chce, szydzi..
Mazur ślepy... Przecie widzi.

*

Nasuńcie się, ano przecie
Dalej,
Bo to Mazur z góry, wiecie,
Wali,
Nasuń-że się, Niemcze kusy,
Z boku,
Bym ci nie miał zaś pokusy
W tłoku.
Wiem, co moje! Nie dam póki
Ducha!
Mazur-ci ja! syny, wnuki..
Hu-ha!...

*

Siedzi Mazur, siedzieć będzie,
Jak u Boga na urzędzie,
Chodzi zawsze w jednem kole
Głodziusieńko w Wisły dole.
Patrzy w pole — dość ma chleba,
Patrzy w okół — dość ma nieba,
Patrzy w Wisłę — srebrna droga
I do morza i do Boga.

*

Szuru — szuru, zawierucha
Kręgiem,
Pokrzykuje Mazur: hu-ha!
Ciągiem,
Przyklękuje i zamiata
Nogą,
Aż ci słupem pył uplata
Drogą.
Pochala się ku tej głębie —
Słucha...
Mazur-ci ja, jak Bóg w niebie!
Hu-ha.

*

Ej, nie tobie, tak z kochania,
Dziewucho, się Mazur kłania!
Kłania-ci się onej glebie,
Panu Bogu tam na niebie,
Przyklękują przed tą ziemią,
W której prochy dziadów drzemią;
Wiśle, którą zna z młodości,
Grobom, kędy złoży kości,
Hej, z kochania z miłowania
Mazur-ci się, aż w proch słania!

*

Mazur-ci ja rodowity
W glebie,
I chłop z chłopa samowity
Z siebie
Mazur-ci ja, z nad tej rzeki
Proga,
Przez te równie niedaleki
Boga.
Fontaż — aż ha! czapka — stogiem
Z ucha!
Mazur-ci ja, jak Bóg Bogiem,
Hu-ha!

Dr. Jan Stella-Sawicki.

Jak należy bronić Ojczyzny.

SARAGOSSA.

Do żadnego miasta, oprócz Rzymu i Wenecyi nie wjeżdżałem z takim pietyzmem, jak do Saragossy. Gdy pokazały się pierwsze domy miasta, zdjąłem kapelusz z uszanowaniem przed tą wielką męczennicą, którą tak gorąco pragnąłem obaczyć.

Pamiętam, że jeszcze dzieckiem będąc z drzeniem serca i ze łzą w oku czytałem o strasznem oblężeniu bohaterskiego miasta, w latach młodzieńczych tak wystudyowałem cały przebieg długiego oblężenia w najdrobniejszych szczegółach, że zdawało mi się, iż przedemną stoją wszystkie najważniejsze miejsca walki, a pamięć moja zachowała opisanie miejscowości z taką dokładnością, iż bez przewodnika byłem w stanie poznać wszystkie miejsca, na których wrzała najgorętsza walka.

W dniu przyjazdu na wszystkich drożynkach widziałem dążące do miasta gromadki włościan w ich oryginalnem ubraniu, prawie każdy miał głowę owiniętą chustką czerwoną, spodnie czarne aksamitne, białe pończochy i sandały na nogach, okrycia zaś były wełniane koloru szarego, zielonego lub błękitnego w białe piasy.

Dyliżans przejeżdżał przez ulice kręte, wąskie, ciasnei i ciemne, opasane wysokimi domami o rzadkich oknach i wyjściach na zewnątrz, jak wszystkie domy na południu, zwłaszcza tam, gdzie panowali Arabowie. Na ulicach i placach było ludzi wiele, jedni siedzieli na progu domów, drudzy oparci o ścianę grali na gitarze, lub nucili przez nos jakąś piosnkę na nutę fandanga. Postacie wszystkich, spojrzenia i ruchy nacechowane były powagą i dumą, tylko Hiszpanom właś iwą. Nawet w ruchach i postawie dzieci było coś teatralnego, dzikiego, a pociągającego godnością i powagą.

Zaledwo przybyłem do hotelu, wypiłem na prędce szklankę pysznej czekolady i udałem się do miasta, aby obaczyć go, a w szczególności te ulice i place, które wsławiły się rozpaczliwą walką tego bohaterskiego ludu z największym wojownikiem świata.

Saragossa była zbudowana przez Fenicyan. Za panowania rzymskich cesarzów zwano ją Cezarea Augusta. Było to miasto wielkie, zamożne i handlowe. W piątym wieku zdobyli je Gotowie, a w ósmym Arabowie, którzy nazwę Cesarea-Augusta przekręcili na Saragossa. W jedenastym wieku stała się ona stolicą małego królestwa, które prawie w ciągu całego stulecia dzielnie broniło się przeciwko napadom sąsiednich chrześcijańskich książąt. Nareszcie Alfons I, król Nawarry i Aragonii, po pięcioletniej wojnie i dziewiętnasto-miesięcznem oblężeniu wziął miasto głodem a król ostatni Abdelmelik umknął do Kordowy. Odtąd Saragossa stała się stolicą królów Arragonii a wkrótce z powiększeniem tego państwa największem i najpiękniejszem miastem Hiszpanii chrześcijańskiej. Niesforny, dziki, lecz mężny i dumny lud wymógł na władcach swoich nietylko wielkie ograniczenie władzy grandów, ale nawet i władzy królewskiej. Utworzono tam nawet pewien rodzaj urzędu, mający rozstrzygać spory między stanami a królem. Przewodniczącego rady, zwanej „Justitia“, miano wał król z grona rycerzy. U instytucyi tej król musiał zasięgać rady i do jej wyroków winien był się zastosować. Jaki był stosunek narodu do króla, najlepiej świadczy rota, poręczająca prawa ludu za Alfonsa V w r. 1416, która brzmiała tak: „My, z których każdy pojedyńczo znaczy tyle co Ty, a którzy razem znaczymy więcej od Ciebie, mianujemy Cię królem, ale dopóty tylko, dopóki będziesz szanował prawa nasze, jeżeli zaś nie, to i my nie! (Os haceremos maestro Rey constanto que gardarei maestros fueros, sina — no!)

W piętnastym wieku po połączeniu Aragonii z Kastylią przez zaślubiny Ferdynanda z Izabellą, zaczyna gasnąć wielkość i znaczenie Saragossy, bo król dla miłości małżonki przeniósł rezydencyę do Kastylii. Całe otoczenie królewskie także wyjechało z miasta, a odkrycie Ameryki zadało ostateczny cios Saragossie, bo cały handel Hiszpanii, ześrodkowany w tem mieście, przeniósł się do Hiszpanii południowej. Zmniejszyła się liczba mieszkańców, zmalało bogactwo, zamulcił się Ebro, tak, że żegluga po nim stała się zupełnie niemożebną. W czasie wojny o sukcesyę hiszpańską Aragończycy trzymali się Asturyi, a że ta była zwyciężona, mieszkańcy za karę utracili swe „fuerory“ i przywileje Nareszcie w czasie wojen Napoleońskich, przy dwukrotnem oblężeniu, Saragossa utraciła trzecią część ludności swojej od ognia i zarazy, a większa część miasta w gruzy runęła.

Nic więc dziwnego że obecnie Saragossa nie odpowiada oczekiwaniom zwiedzających ją. Wprawdzie miasto właściwe, leżące po prawej stronie Ebro, ma prawie milę obwodu i jest gęsto zabudowane, a budynki mają po kilka piąter, ilość ludności jednak wynosi tylko 60 tysięcy, tak w mieście, jak i na przedmieściach, to jest połowę tego ile było dawniej. Na krańcach miasta, tak ze wschodniej jak i z zachodniej strony, natrafić można na całkiem opustoszałe ulice, na puste domy, ruiny i pogorzeliska. Większa część tych ruin datuje od bombardowania miasta w r. 1808 i 1809 i od walki w ulicach, którą toczył lud za niepodległość ojczyzny. We wszystkich częściach miasta napotykamy ślady tej bohaterskiej walki w znakach od kul armatnich i w gruzach budynków nie odnowionych dotychczas.

Pierwsze miejsce pomiędzy ulicami zajmuje Callo del Cosso, która ciągnie się prawie przez całe miasto od wschodu ku zachodowi. Tu niegdyś odbywały się go-

nitwy, turnieje i zabawy ludowe, a dziś po odbudowaniu domów zniszczonych w czasie oblężenia, stanowi naludniejszą część miasta. Pod prostym kątem do niej ciągnie się ulica S. Engrazia, pośród której zasadzono podwójny rząd kasztanów i która się kończy około ruin klasztoru tegoż imienia. Przy połączeniu jej z Cosso znajduje się piękna marmurowa studnia, zwana krwawą studnią (fuenta de la sangve), bo w tem miejscu, najniższem na Cosso miała zewsząd ściekać krew obrońców poległych w walce w 1809 roku. Na Cosso też znajduje się ogromny, ciemno malowany pałac starożytnej budowy. Dwie kolosalne figury w strojach arabskich dźwigają sklepienia bramy i od nich dom ten otrzymał nazwę „Casa de los gigantes". Tu w czasie oblężenia mieszkał sławny dowódca oblężonych jenerał Palafox, a teraz mieszka gubernator, czyli kapitan Aragonii.

Na brzegu Ebro, niedaleko od mostu łączącego miasto z przedmieściem, stoi katedra de la Virgen czyli Madonny del Pilar, na dość obszernym placu tegoż imienia.

Wizerunek Matki Boskiej w tym kościele doznaje niezmiernej czci nie tylko w Arragonii, ale i w całej Hiszpanii, a z pewnością w okolicy nie znajdziesz ani jednego domu, gdzieby jego nie było; do tej Madonny lud się ucieka we wszystkich bolach i dolegliwościach; o jej opiekę i pomoc biegły błagać tłumy kobiet, żołnierzy i dzieci, idąc walczyć z wrogiem Ojczyzny. Msza przy wielkim ołtarzu odbywa się codziennie od 3 w nocy aż do południa, a kościół tak przepełniony, i literalnie nigdy, od rana, aż do chwili zamknięcia świątyni na noc nie bywa pustym zupełnie. Najwyższa arystokracya kraju, wojskowi, uczeni, damy dworu i żebraczki godzinami całemi klęczą jedni obok drugich, z największą czcią i ufnością składają u stóp Bogarodzicy swe bole i prośby. Na piedestale posągu od ciągłych pocałunków utworzyło się takie zagłębienie, że głowa weń wejść może. Powodem tej czci jest następujące podanie. Po śmierci p. Jezusa, św. Jakób z Matką Boską przybyli do Hiszpanii dla nawracania ludzi na chrześciaństwo. Przechodząc z miasta do miasta, zwiedzając góry i doliny, podróżni przyszli do Saragossy, gdzie tak się podobał pobyt Najświętszej Pannie, że postanowiła tam pozostać, jeżeli nie osobiście, to w wizerunku. Wizerunek ten znaleziono na d brzegiem Ebro pod korytem (Pilar) i stąd poszła ta nazwa. Mnóstwo ludzi chorych i kalek miało odzyskać zdrowie modląc się do niego. Na miejscu, gdzie znaleziono statuę, postawiono świątynię, na razie kaplicę, a następnie w 1686 roku zaczęto budować teraźniejszą katedrę. Św. Jakób zaś, jak wiadomo, jest patronem Hiszpanii.



POKŁOSIE.

Dr. Z. Gargas.

Socyologia.

(Zarys podstaw socyologii ogólnej.) Napisał Ludwik Kulczycki. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1890, str. 268.

Jest to zawsze rzecz trudna a niekiedy niebezpieczna nawet, tworzyć systemy w naukach, które są jeszcze w stadyum tworzenia. Dotyczy to w szczególności także socyologii. Wprawdzie nie jest przedmiotem sporu samo pojęcie nauki i zgodzić się możemy niewątpliwie z autorem, który powiada, że socyologia jest nauką o typowych grupach i związkach społecznych, o zachodzących wewnątrz nich i między niemi typowych stosunków społecznych. Ale już kwestya metody jest sporną w najwyższym stopniu. Jedni chcieliby wprowadzić wszystkie zjawiska społeczne do zjawisk przeobrażeń energii, inni pojmują społeczeństwo, jako organizm. Jedni opierają się w swych wywodach na materyale etnograficznym, inni na materyale historycznym, lub statystycznym. Autor odrzuca słusznie dwie pierwsze teorye, oświadczając się za połączoną metodą etnologiczno-historyczno porównawczą. Na połączenie tego rodzaju trudno się nie zgodzić. Myli się wszakże autor, jeśli sądzi, że socyologia nie ma możności badania ilościowej strony zjawisk. Racyę ma chyba o tyle, o ile chodzi o zjawiska ściśle indywidualne. Inaczej ma się rzecz natomiast, gdy chodzi o społeczny wyraz tych zjawisk, bo na tem polu statystyka chyba już dostatecznie dowiodła racyi swego istnienia.

Duszą społeczną, zowie autor „wspólność psychiczną większości grupy, lub narodu", która to wspólność jest rezultatem wspólnego życia długiego szeregu pokoleń w warunkach, pod wielu względami jednakowych. Porzucił więc autor to dawne mistyczne stanowisko, które przez „duszę społeczną" rozumiało niekiedy coś samodzielnego w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, coś niezależnego od duszy poszczególnych jednostek, co się jej przeciwstawia bezwzględnie i wyraża w pewnych uczuciach, pojęciach, dążnościach już to całego narodu, już to klas poszczególnych. Zbliża

się więc autor tem samem do nowożytnego stanu wiedzy, skrystalizowanego w wywodach Wundta (*Grundriss der Psychologie* 1896, str. 349 i n.) i Eulenburga (*Ueber die Möglichkeit und die Aufgaben einer Socialpsychologie w Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung u. Volkswirthschaft* 1900, str. 202 i n.).

Autor jest zwolennikiem materyalizmu socyologicznego, ale nie w jego formie krańcowej. Uznając bowiem wpływ stosunków ekonomicznych na sferę czysto umysłowo spekulacyjną, odrzuca autor twierdzenie materyalistów socyologicznych, według których wszystkie przejawy umysłowe, a więc literatura, nauka, filozofia, są tylko odbiciem owych stosunków. Doktryny naukowe, mówi autor w innem miejscu, są rezultatem pewnych specyalnych skojarzeń różnych pojęć, powstałych z doświadczenia. Trzeba w ogóle uznać wpływ stosunków ekonomicznych na rozwój nauk, ale nie na jakiś system filozoficzny, lub na jakąś poszczególną doktrynę naukową. Nie warunkują też stosunki ekonomiczne powstawania zasadniczych pojęć religijnych o duszy, życiu pozagrobowem, strona ich dogmatyczna jest względnie niezależna, natomiast zależne są formy kultu i jego strona wyłącznie praktyczno-społeczna.

Również w kwestyi naśladownictwa zajmuje autor stanowisko umiarkowane. Naśladownictwo — powiada on — działa z większą siłą w tej z dwóch grup, która przy innych warunkach równych jest mniej wykształconą i posiada życie umysłowe bardziej jednostronne a to dlatego, że większy zasób pojęć, uczuć i t. p. przedstawia mniej szans jednakowego ich ustosunkowania u różnych jednostek i jednakowego reagowania na pewne podrażnienia zewnętrzne. Na siłę naśladownictwa w jednorodnej grupie wpływa także jej wielkość, znajdują się one do siebie w stosunku odwrotnym dlatego, że o ile jakaś grupa jest liczniejszą, o tyle łatwiej rozbija się ona na grupy mniejsze, jednostki do siebie podobniejsze łączą i wspierają się wzajemnie, co utrudnia naśladownictwo ogólne.

Z zadowoleniem podnieść mi wypada stanowisko, które autor zajął w kwestyi indywidualizmu i w kwestyi świadomości działania. Jak cele społeczne mają swe przyczyny, tak z drugiej strony same stają się również przyczynami. Gdzie dążność społeczna różnych grup ludzkich jest zupełnie świadomą, gdzie ideały społeczne realizują się planowo, tam cele są przyczynami późniejszych przeobrażeń społecznych. Nie godzi się też autor z twierdzeniem, że prawo nigdy nie może wstrzymać samorzutnej ewolucyi społecznej, że więc nakazy prawne nie mają siły, bo głębsze rozważenie faktów uczy zgoła czego innego. Z prawidłowości, dostrzeganej w zjawiskach społecznych, jak w innych, wynikać nie może nasza w obec nich bezsilność. Z faktu istnienia i znajomości praw fizycznych, chemicznych i wogóle przyrodniczych, nie wynika bynajmniej bezsilność w obec sił przyrody, lecz przeciwnie, coraz większe ich opanowywanie i odpowiednie ich wyzyskiwanie. Gdyby w zjawiskach społecznych nie było żadnej prawidłowości, sztuka polityczna musiałaby być jałową, gdyż nigdy skutki szerszej działalności nie dałyby się przewidzieć ani osięgnąć, na każdym też kroku spotkać można wymowne przykłady wielkiej doniosłości sztuki politycznej. To też autor zwalcza bardzo stanowczo pogląd, według którego ludzie na wysokich stanowiskach w społeczeństwie są tylko maryonetkami i wykonują jedynie to, czego od nich wymaga rozwój stosunków społecznych, wola ich zaś, poglądy i uczucia nie mają żadnego znaczenia.

Mimo, że autor zastrzega się bardzo stanowczo przeciw pomięszaniu polityki z socyologią, przecież w swej pracy nie przeprowadza tego postulatu dość konsekwentnie, tak np. jego wywody o anarchizmie i kolektywizmie mają bardzo wybitne zabarwienie polityczne.

Całość mimo, że rzeczy nie wyczerpuje, można nazwać wcale udatną. Porusza bowiem cały szereg bardzo ważnych kwestyj socyologicznych. Szkoda tylko, że autor prawie wcale nie podaje wskazówek literackich.

Literatura niemiecka.

(Nowości wydawnicze niemieckie. Pani Viebig: „Wieś babska". Wassermann: Historya Renaty Fux").

(Dokończenie).

Od tego ostatniego — niejako symbolu kultury, psującej swem wyrafinowaniem naiwne i zepsute, ale bez świadomości zepsucia obyczaje wiejskie — udziela się wiosce: *febris aurea*. Z Pietrusiem dzieje się coś dziwnego: pieniądz piecze go, mieni mu się w oczach, budzi żądze nigdy nie doznawane. A gdy od proboszcza otrzymuje rozmaite metale do naprawienia świecznika kościelnego, staje się nagle bogatym, zaczyna sypać talarami, sukniami, błyskotkami... i cała wieś bab lgnie do niego z większą jeszcze skwapliwością...

Trwa to stosunkowo nie długo. Niebawem zjawiają się żandarmi, zabierają Pietrusia, a z jego mieszkanka... maszynkę do fabrykowania talarów. Tu rozpoczyna się cześć bojowa epopei, Jakto? zabierają Pietrusia? jedynego? Żandarmi spotykają nagle pod lasem wał kobiet, za nim drugi — dziewczat. Padły kamienie, błysły rewolwery — wtem z gór rozległ się okrzyk, odbił się stokrotnem echem, wstrząsnął sercami.

W babach ozwała się kobieta. Zapomniawszy o całym świecie, wszystkie rzuciły się ku wracającym mężom.

Epopeja skończona.

Wśród powieści chłopskich, ptóre literatura ostatnich czasów wydała, utwór pani Viebig jest może najoryginalniejszym i otwiera naoścież podwoje wielu tajemnic duszy chłopskiej. Poważny w założeniu, pełen kobiecego taktu w przeprowadzeniu, daje typy pełne plastyki i życia. Wspaniały jest przedewszystkiem Pittchen, ta mieszanina dobroduszności i chytrości chłopskiej, od niechcenia basza, a przywiązany do żony, niedowiarek, który nagle poznaje palec Boży w fakcie, iż kruszców do fałszowania monet dostarcza mu ksiądz i dziękuje za to — patronce swojej. Potem cała galerya kobieca natur pierwotnych i naiwnych, grzesznych a bez grzechu, kochających mężów, ale kochających też na swój sposób życie.

Utwór Jakóba Wassermanna jest najzupełniejszą antytezą powieści pani Viebig, klasycznym reprezentantem literatury wielkomiejskiej.

Wasserman jest poetą subjektywnym, fantastycznym, intuicyjnym, a odwracającym się ze wstrętem od życia codziennego, aby poszukiwać głębszych piękności i prawd głębszych. Taką znalazł i opowiedział w „Historyi młodej Renaty Fuchs" *„Geschichte der Jungen Renate Fuchs"*. Powieść ta jest właściwie poematem lirycznym, pieśnią minstrela nowoczesnego o kobiecie wyjątkowej, hymnem zakochanego wobec bóstwa — co prawda, modlitwą dziwną, pełną zgrzytów, bluźnierstw, szaleństw, wizyj bezecnych i bolesnych, ale zakończonych wniebowzięciem. Bóstwem tem jest kobieta, istota nieskończenie wyższa i szlachetniejsza od mężczyzny, czysty i wdzięk uosobniony, instrument cudny „sam w sobie", jak każdy instrument nic nie znaczący, ale wygrywający wszystko, co dusza wymarzy, gdy go dotknie dłoń miłości.

Harfą taką jest właśnie Renata.

Życie jej jest szeregiem wypadków niesłychanie dziwnych, niezwykłych, strącających ją z wyżyn drabiny społecznej do rynsztoków życia, wśród przygód, wstrząśnień, ciosów, rzucających na nią promienie i błoto. Wszystko to jednak prześlizguje się po niej prawie bez śladu, duszy nie zmienia. Zamknięta, ona, jak skarb czarodzieja, i otwiera się tylko na magiczne zaklęcie miłości.

Poznajemy Renatę w domu rodzicielskim, bogatych patrycyuszów monachijskich i zawsze widzimy przed sobą jej blady profil o zaświatowych oczach i purpurowych ustach. O rękę jej stara się książę — i ma ją otrzymać. Nagle Renata znika z domu rodzicielskiego. Znika z młodym studentem, którego pierwszem pokochała uczuciem.

Nie na długo. Ruederer — ów student — demaskuje się przy pierwszem nieszczęściu, jako charakter niski, słaby, brutalny. Ona go opuszcza — i odtąd zaczyna się wędrówka od miasta do miasta, ze stopnia na stopień, smutna, rozdzierająca wszelkie złudzenia. Renata wpada w wir cyganeryi artystyczno-literackiej, stąd wchodzi do domu śmiesznych, wzbogaconych mieszczuchów, jako „dama do towarzystwa"; dochodzi do tego, że pozuje przed publicznością tyngltanglu, jako „statua" — a dusza jej zawsze niepokalana, a głębokie oczy zawsze w nieznane jakieś światy wpatrzone. Nareszcie staje przed człowiekiem, który istotnie zdobywa niewinne, naiwne, dumne jej serce, przed człowiekiem idei i męczeństwa, i choć ten umiera — jesteśmy o los Renaty spokojni. Z dzieckiem jego pójdzie przez świat czysta i wielka, w dziecko przeleje gołębią duszę własną i lwią duszę zgasłego.

A jednak wśród tych anty-społecznych i anty moralnych obrazów kryje się głęboka psychologia, kryje się prawdziwy, nieśmiertelny rys kobiecości. Tylko poeta tak głęboko w duszę spogląda, i tylko poeta umiał ją nam tak przedstawić. Książa Wassermana jest przesiąknięta liryzmem i obrazami o zadziwiającej subtelności. Do takich tajemnic duszy niewieściej, gruby nóż naturalisty nigdyby nie dotarł.

Po wybitnych zjawiskach powieściowych, rzuciwszy okiem na dramat niemiecki — natrafi się na pustkę, ożywioną kilkoma homonculusami, ognikami błędnemi, manekinami.

W. F.

Humorystyka pożaru.

W zakładzie kąpielowym Liebenstein wybuchł przed paru dniami pożar i to nocą. Na szczęście ogień pojawił się tylko w lokalu kuchennym i bez trudu został ugaszony, zwłaszcza, że wczas jeszcze spostrzegli go kelnerzy, grający wbrew zakazom gospodarza, w karty.

Mimo żadnego prawie niebezpieczeństwa panika była straszna. Zwłaszcza piękniejsza część hotelowych gości oddawała się z zamiłowaniem wykrzykom wszelakiego rodzaju. Jeden z mieszkańców hotelu, interwiewowany przez reportera miejscowego pisemka, opisał swoje wrażenia w następujący sposób:

Wieczna cześć i dzięki należą się czterem królom (karcianym) i trzem kelnerom, że uratowali nasz hotel od nieszczęścia, które mu zagrażało. Nie wątpię, iż wszyscy wielbiciele szlachetnej gry w karty, znajdą w tym ciekawym zbiegu okoliczności podnietę do jaknajdłuższego wysiadywania w nocy przy zielonym stoliku w oczekiwaniu jakiegoś pożaru, któremuby można wczas zapobiedz.

Nasz olbrzymi i gęsto zaludniony hotel, pogrążony w słodkim śnie, obudził się w mgnieniu oka. Część personalu służbowego pobiegła od drzwi do drzwi, budząc śpiących gości, reszta z gospodarzem na czele co rychlej popędziła na miejsce, gdzie wybuchnął ogień. Tymczasem korytarze już się ożywiły tłumem równie przestraszonych jak i roznegliżowanych kąpielowiczów płci obojga. Można było widzieć damy, które ratując cenny kapelusz słomkowy, umieszczony na głowie, resztą ubrania przypominały żywo niektóre karty korespondencyjne, skonfiskowane przez prokuratorye, dbałą o moralność powszechną; jakaś młoda jeszcze, lecz fatalnie korpulentna kobieta, stała koło schodków, trzymając w ręku — chłopca do butów i jęczała od czasu do czasu: „trzy marki temu kto mnie ocali!" Ja zażądałem trzy marki 50 fenigów, lecz musiałem się zrzec zarobku, a to z dwóch przyczyn:

1) że inny konkurent chciał to samo uczynić za 2 marki,

2) zaś dlatego, iż dama wolała, jak się pokazało, zaoszczędzić sobie wydatku i sama przeprowadziła akcyę ratunkową.

Wiele kobiet wyrzucało przez okna wszystko, co się tylko dało, tak, że cały plac dokoła hotelu wyglądał jak jedna olbrzymia tandeta. Pewna dama, rządząc się przy wykonywaniu tej czynności wrodzoną kobiecą systematycznością, zachowała w ratowaniu swojego mienia, następujący porządek: Naprzód wyrzuciła przez okno swoje kosztowności, potem miednicę, potem zwierciadło z materacem, a na samym końcu zamierzała wyrzucić samą siebie, tj. wyskoczyć oknem, lecz na szczęście odstąpiła od zamiaru.

Nie brakowało też i mężczyzn, którzy zachowaniem się swojem stwierdzali dowodnie, iż nietylko kobieta może być pozbawioną głowy. Jakiś stary kawaler, zawsze elegancki i dbały o decorum, uzupełnił swej arcyniocny kostyum błyszczącym cylindrem oraz mankietami, i trzymając w ręku miednicę, krzyczał, z całego gardła: wody! wody!"

Kilku jednakowoż przedstawicieli rodu męzkiego zachowywało niezamąconą zimną krew i, stojąc na korytarzu, obserwowało z całym spokojem szalony ruch, jaki tam panował. Szczególną ich uwagę zwracały, rzecz naturalna, kobiety, a zwłaszcza panny, biegające tu i tam w szalonym popłochu bez uwagi na kostyum równie biały jak niekompletny! Wielu z nich oświadczyło mi na drugi dzień, że się nigdy nie — ożenią.

Nowe książki.

Ks. I. Ch. (Ignacy Charszewski). **Ślepi wodzowie.**

„Kilka skromnych artykułów pod adresem butnych teologów w surducie", jak objaśnia sam autor, złożyły się na tę broszurę polemiczną, pisaną dobrym językiem i z prawdziwem zacięciem.

Trudno zaiste nie wyznać — mówi ks. I. Ch. za wstępie, — że kulturalnie jesteśmy zacofani o lat parę dziesiątków. Prawda, że ostatniemi laty zaczęła się u nas ożywiać rozumna działalność katolicka i moglibyśmy się cieszyć lepszymi widokami na przyszłość, gdyby znowu, niestety! — nie mąciło nam tej radości uwijające się w pewnych kołach wstecznictwo, najprawdziwsze wstecznictwo! Wytwarza ono liche i nędzne karykatury „obrońców" religii, który jej szkodzą raczej niż pomagają.

Przeciw tej kategorii „obrońców" którzy niedźwiedzie wyrządzają przysługi katolicyzmowi, oraz przeciw jednemu z tygodników, znanych z działalności na tem polu, występuje autor energicznie, zbrojny w poważne, rozumne argumenty i w prawdy czystej nauki Chrystusa. Jako kapłan ma on niewatpliwie kompetencyę zupełną do zabierania w sprawach tych głosu, ale nietylko stanowisko kapłana, lecz i stanowisko obywatelskie zaznacza się wyraźnie w pracy ks Ch. i to nadaje tej ostatniej wartość podwójną.

Autor po za talentem publicystycznym posiada jeszcze dwie rzeczy cenne: śmiałość i niezależność poglądów, oraz odwagę słowa. Ztąd broszura jego może być prawdziwie pożyteczną, wątpić jednak można o tem, czy odniesie ona na razie pożądany skutek i sprawi swoje wśród tych, przeciw którym, jako pocisk, została wymierzona. To pewna jednak, że częstsze zabieranie głosu w tego rodzaju kwestyach przez kapłanów światłych byłoby nader pożądane.

* *

Aleksander Kraushar. **„Książę Repnin i Polska w pierwszem czteroleciu panowania Stanisława Augusta"** (1764—1768). Wydanie nowe, przejrzane i poprawione.

Ukazanie się trzeciego wydania niniejszego dzieła, wymownie świadczy o zainteresowaniu, które autor potrafił obudzić w szerokich kołach czytelników, opracowanym na zasadzie nieznanych przedtem materyałów źródłowych, obrazem wypadków epizodu przemysłowego w dziejach Polski u schyłku wieku XVIII. W rzuconem umiejętną ręką świetle, wydobytem z obfitych źródeł archiwalnych wyjaśniają się ta ne sprężyny konfederacyi radomskiej; niejedna wina, dzięki zrozumieniu jej przyczyn, blednie, jak niejedna pozorna zasługa zkądinąd obraca się w nicość. Szereg postaci historycznych bądź zmienia swoją fizyognomię dziejową, bądź występuje w wyraźniejszych zarysach pod piórem zasłużonego historyografa, którego bezstronność i sumienność podkreśliła krytyka zarówno, polska jak i obca. Dzieło wzbogacone jest szeregiem nowych ilustracyj.

Z teatru.

Sezon kanikularny w lwowskim teatrze miejskim wykazał, że nie mają słuszności ci wszyscy, co dowodzili szeroko i długo, jakoby grzechem przeciw sztuce i publiczności było zawieszenie przedstawień na kilka letnich miesięcy. Pytanie, co jest lepszem: czy wstrzymać przedstawienia, czyli też zmuszać zmęczonych i zniechęconych artystów, ażeby przed pustemi ławkami grali (powiedzmy: jak za napaść!) dla kilkunastu sprawozdawców dziennikarskich i dla tyluż słomianych wdowców, co ziewają w fotelach? Na wykonaniu „letniem" kilku fars i operetek poziom sceny stołecznej wcale nie zyskał, a przedstawienia nie były widocznie potrzebą publiczności, skoro zgoła na nie nie uczęszczała.

W tem mrowisku farsideł i operetek wyróżniły się zaledwie dwa wieczory, a to te, w których wznowiono „Przed ślubem" Zaleskiego i „Pan Damazy" Blizińskiego. Były to, jak prawdziwe brylanty w mrowiu sztucznych kamieni i szkiełek. W komedyi Zaleskiego rolę nowowiejskiego grał p. Chmieliński, a jakkolwiek nie wycieniował tej wspaniałej kreacyi tak, jakbyśmy tego pragnęli, to jednak w kontury rysunku tchnął tyle ducha i inteligencyi własnej, że wywarł wrażenie należyte. — W „Damazym" u rzeliśmy p. Jaworskiego, który, zdaje się, w całej trupie tutejszej jest jedynym, dobrym wykonawcą ról szlacheckich. Przykro to, iż na polskiej scenie ginie tradycya polskich postaci. P. Jaworski pojął i oddał swą rolę z prawdziwem powodzeniem; był to Damazy żywy i prawdziwy.

W operetkach, które u nas tem się odznaczają, że gra się je i śpiewa, jak opery tragiczne, — mieliśmy w dniach ostatnich dwa debiuty, obadwa wcale udatne, a to: pp. Glińskiego i Krzemieńskiego. Pierwszy wprawdzie ani śpiewem, ani grą nie zastąpi nieodżałowanego Boguckiego, ale, jak mówią, na nasze potrzeby wystarczy; drugi, tenor, prezentuje się pod każdym względem o wiele lepiej i może stać się bardzo użytecznym, jeżeli, obok poprawnego śpiewu, dopisze mu ów humor, bez którego operetka nie jest operetką.

Echa dyalogów.

(Podsłuchane w ogrodzie publicznym).

7-mioletni Henio (do 7-mioletniego Stasia): — „Mój tatuś prowadzi sprawy samych hrabiów i bankierów, a twój broni tylko złodziei..."

. . . .

7-mioletnia Mania (do 7-mioletniej Heli): — „Moja mamusia kupiła wczoraj jedwabną suknię od Hersego, a twoja chodzi zawsze gorzej ubrana od naszej młodszej..."

6 letni Janek (do 6-cioletniego Władzia): — „Twój tatuś włóczy się po szpitalach, a mój tatuś leczy na nerwy same hrabiny..."

5½-letni Bolek (do 6-cioletniej Broni): — „Mój stryjcio ożenił się z takom bogatom żydówkom, że już teraz nic nie robi, tylko gra w karty, pali drogie cygara, pije szampana, a twoja ciocia jeszcze nie złapała męża..."

Bronia: „Ale moja ciocia flirtuje z hrabiom Puszczalskim, który mi tyle znosi cukierków, że zjeść nawet wszystkich nie mogę. ."

5-cioletnia Zosia (do 5-cioletniej Kazi): — „A my niezadługo pojedziemy do Ojcowa..."

Kazia: „A my za granicę... aha!"

4-ro letni Boguś (do 4-ro letniego Zdzisia): — „Mój tatuś glal wcola winta z panem dylektolem i psegl mu 50 lubli, — i mamusia mówila „ze pewnie dostanie telas awans".

Zdziś: — „A mój tatuś tak się wcola schlal na jakiś bibce i takie wyplawial awantuly w domu, ze go mamusia zbeśtala od ostatnich, a dziś nie puśćila do biula, bo ma kacynjamyl..."

3-letni Juluś (do 3-letniego Jurka): — „A twu tatuś blagui bomupatio, a mu jest alupata... aha!"

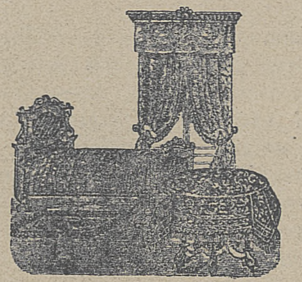
Jurek (zamierzający się na Julusia rydelkiem od taczek dziecięcych): — „A ja tobie dam w leb lopatom... aha!"

Le-nek.

Jako dobrą i pewną lokacyę
polecamy
4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 32-52
Kantor wymiany
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
Banku hipotecznego.

TUTKI
ze specyalnej bibułki „ABADIE“
„PRIMUS“
są powszechnie uznane
za najlepsze!
Wszędzie do nabycia.
FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
39—52

Gotówka nie wymagana.
Ulgi w spłatach wedle umowy.
Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma
Wiedeński magazyn i skład dywanów
„AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.
Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.
37—44

Główny skład rowerów angielskich
aparatów fotograficznych
i wszelkich przyborów.
Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.
Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.
Dziękuję za dotychczasowe względy.
Z szacunkiem
Herman Gottlieb
Przemyśl, ul. Franciszkańska (pod wieżą).

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO
dla handlu i przemysłu
ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro
(dawny lokal Banku kredytowego)
zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 32—52
Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

HOTEL POLSKI
w KRAKOWIE
przy ulicy Floryańskiej
poleca Szan. Publiczności pokoje, wzorowo i elegancko z komfortem urządzone.
Ceny niskie i dla każdego przyjeżdżającego bardzo przystępne.
Zarząd postarał się o wszelkie wygody, by każdy gość był zadowolony, za które poręcza się.
Z poważaniem
7—24 **Zarząd Hotelu Polskiego**
w KRAKOWIE.

Pierwsze składy
obuwia karlsbadzkiego
Adolfa Lonkera
ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy)
LWÓW
ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol).
Obuwie tylko ręcznej roboty.
dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary.

Ferdynand Güttler
Magazyn towarów modnych
Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

42-52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY
SOKAL i LILIEN
we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)
kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.
Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 42—52
Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn
na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra
obecnie
M. JAKUBOWSKI
poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne. 12—12

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.